

LIST Z PODRÓŻY

Szanowny Panie Aleksandrze! Ten list piszę w odpowiedzi na pańską prośbę o refleksję nad ruchem amatorskim, kulturą alternatywną, teatrem — oczywiście w tym tylko obszarze, który stał się dostępny mojemu doświadczeniu. Trochę zwlekałem z odpowiedzią. Już trzeci miesiąc jesteśmy w Podróży na Wschód — tak nazwaliśmy nasze obecne przedsięwzięcie, które w jakiś sposób realizuje marzenie o ciągłej wędrówce, łączącej w jedno życie i pracę, miłość i obowiązek, ogień i niebo, marzenie, które ma swe źródło w czasach, o których będę pisał. Myślę, że zarówno to, jak i fakt, że w tej drodze spotkało się wielu ludzi, uczestników zdarzeń, które będę przyzywał — że to wszystko pomoże mi tylko w rozmowie z przeszłością.

Uwagę swoją skupię na doświadczeniu „Gardzienic”, w którym brałem udział w latach 1978—1983 i na całym kontekście z tym związanym. Zacznę jednak odrobinę wcześniej, od recytacji poezji. W Polsce młody człowiek, począwszy już od szkoły podstawowej, może wziąć udział w ruchu, który ma swoją tradycję, ma swoje wzloty i upadki, ma swoich mistrzów i wychowanków, i który w najczystszy sposób słowa tego sensie jest ruchem alternatywnym. Chodzi o uwagę skupioną na brzmieniu słowa poetyckiego, albo inaczej, o pracę w obrębie własnej wrażliwości, charakteru i świadomości. Wówczas była to cała sieć spotkań w różnych miejscach Polski, w ciągu całego roku, spotkań ludzi głodnych duchowej przygody, pouczenia, dostępnych jednak w innej formie niż proponowała to szkoła czy kościół. Poezja, a więc przestrzeń w obrębie której działali, chroniła ich szczerze, czy chcieli tego czy nie, przed kulturą oficjalną, komercyjną, mass mediami, profesjonalizmem itd. Tutaj alternatywność nie jest czymś przyjętym czy wymyślonym — po prostu przynależy do natury rzeczy. I nie pomogą nic różne ingerencje z zewnątrz w ten świat — różni logopedzi, aktorzy zawodowi i inni specjaliści, którzy chętnie by powyrwali chwasty w tym ogródku, żeby choć trochę przypominał ich własny. Istota poezji broni się sama i kontestuje. Otóż ja jestem wychowankiem tego ruchu. Po odejściu z „Gardzienic” na nowo się w tę sprawę zaangażowałem, bardziej już jako wychowawca i juror, ale też we własnej praktyce teatralnej, w której recytacja, czyli sztuka uwagi skupionej na brzmieniu słowa poetyckiego, spotyka się z wypracowaną w „Gardzienicach” świadomością ciała i oddechu. Ale nie o tym chciałem pisać. Faktem jest, że to moje doświadczenie recytatorskie warsztatowo w pracy w „Gardzienicach” się nie przydało — więcej, stanowiło przeszkodę, którą trzeba było przezwyciężyć.

Z czym ja przyszedłem do „Gardzienic”? Z poezją Miłosza, (tomik *Ocalenie* cały przepisany ręcznie w czytelni uniwersyteckiej), z intensywnie przeżywanym spotkaniem ze Stachurą, z jego życiem i książkami, z pochłoniętą wręcz książką Brauna o nowym teatrze na świecie... i z całą swoją bezradnością. A tam, w pomieszczeniu przed salą, na półce stał Mickiewicz, Rabelais, Bachtin, Moszyński, Kolberg... Pamiętam też album z rycinami Blake’a, które nakładają mi się teraz na obraz ludzkich ciał poddanych ekspresji i muzyce, obraz jaki ujawniał się po otworzeniu drzwi do sali, w której pracowaliśmy. Głowa na dół, brzuch do góry, śmiech do trzewi, akrobacje, czupryny jak płomyki świec na wietrze, gitary, flety i bęben, rytm i dotyk... Od tego wszystkiego aż gęste było powietrze.

Ten czas to była dla mnie prawdziwa szkoła. Proszę sobie wyobrazić młodego chłopaka (kończyłem wtedy 20 lat) zakochanego w sobie, nieporadnego życiowo, ambitnego, który już coś tam małego osiągnął, czegoś dotknął, i który nagle wyrzucony jest w nowy świat, gdzie trzeba cały swój bagaż wyrzucić, bo może tylko przeszkadzać, zapomnieć o sobie i poddać się nieznanemu. W takiej sytuacji możliwe są dwie reakcje: albo człowiek okopuje

się w swojej fortecy i broni zdobytych pozycji, albo coś pęka i przez wąską szczelinę wychodzi nagi, by wsłuchać się i współistnieć. Ten drugi wariant jest oczywiście wariantem kochanka i tak też się ze mną stało — serdeczna kropla zaczęła drążyć skałę i powoli zacząłem przystawać do zespołu. A była to niezwykła konstelacja ludzi, naprawdę dużych indywidualności. Byłem od nich młodszy, nawet dużo młodszy. Mieli już za sobą doświadczenia teatru studenckiego lat siedemdziesiątych i Teatru „Laboratorium”. Na poszukiwanie nowego naturalnego środowiska teatru wyruszyli w 1977 roku. Spotkałem ich w Krakowie w 1978 roku na Międzynarodowym Biennale Teatru Amatorskiego i wyruszyłem z nimi na wyprawę do Cyganów. Nigdy nie widziałem ich pracy z zewnątrz. Już tam, w Szaflarach, w *Spektaklu Wieczornym* działałem wewnątrz, wykonując małą etiudę.

Potem wszystko potoczyło się szybko: wewnętrzna praca, wyprawy, ludzie na wsi, podróże po Europie... Intensywny strumień. Nie było czasu na własne problemy, na refleksje typu czy mnie to realizuje czy nie, na wątpliwości i roztrząsania decyzji. To był strumień doświadczenia, oczywisty, spontaniczny, bezgraniczny. Nie wie się wtedy co to kalendarz, rachuby, zmęczenie, dystans. I ciągle trzeba stawać na wysokości zadania, czy to wobec tych dziesięciu przyjaciół, którzy stawiają duże wymagania, czy wobec ludzi na wsi, czy wobec biorących udział w wyprawie. Jesteś taki, jakie w tej chwili dajesz świadectwo o sobie. I tu nic nie da się zatrzymać, powtórzyć, zagadać czy ukryć.

Czy stół w „Gardzienicach” był suto czy ubogo zastawiony? Nie wiem. Nie myślałem o tym. Zawsze tylko irytowały mnie uwagi czy artykuły o tym, jak tam jest ciężko i biednie. To ciągnie się do dziś.

Byłem syty w „Gardzienicach” i to od rana do późnej nocy. Czy ciężko pracowaliśmy? Wydawało mi się, że tak, zwłaszcza pewnymi okresami. Ale, gdy po odejściu z zespołu, kolega z Poznania poprosił mnie, żebym przez tydzień poprowadził za niego lekcje języka polskiego w technikum, ugryzłem się w język i więcej o ciężkiej pracy w „Gardzienicach” nie wspominałem. Aż niewiarogodne, ile podobnych mitów i klisz funkcjonuje wśród ludzi. Z zewnątrz to może wyglądać nawet atrakcyjnie, ale jest bardzo niebezpieczne dla wewnętrznej pracy. Wystarczy taką kliszę przyjąć — a cóż bardziej kuszącego — i ma się garb na całe lata, którego z biegiem czasu coraz trudniej jest się pozbyć.

Porzucam już dygresje i powracam do okresu z przełomu lat 70 i 80. Nadchodził czas kondensacji dotychczasowych doświadczeń, nadania im jeszcze innego wymiaru. Rodził się spektakl *Gusta*.

Pamiętam dużą salę na piętrze pałacu w „Gardzienicach”, która była wówczas naszym domem: tam wszyscy spaliśmy, tam jedliśmy, tam przyjmowaliśmy gości. Kto nas odwiedzał? Na przykład Hideo Kanze, mistrz teatru Nō, którego grę na flecie słyszę do dziś, Jerzy Grotowski, opowiadający nam przy stole o „szygoscach” — świetlistym bliźniaku gnostyków; Paco Mayano, śpiewający flamenco tak, jak tylko Lorca o tym pisać potrafił: „Z oliwek ciężko zwisają krzyki. To chmara ptaków uwięzionych rozpościera w ciemnościach długie ogony”.

Przychodził też pan Jan, stróż, by opowiadać swoje niezwykle sny o podróżach do nieba, rozmowach z aniołami i duchami, albo też prorocтва z ksiąg Michaldy (Sybilli) zaczerpnięte.

Był tam piecyk, trociniak, zimową porą rozgrzany do czerwoności i prychający dymem, duży stół, szafa, półka z książkami, a za przesłoną w różne strony porostawiane tapczany, wokół których próbowały się zagospodarować indywidualne światy każdego z nas: szafki, małe półki, plecaki, instrumenty... Z książek pamiętam oczywiście różne wydania Mickiewicza, teksty Pigonia

o *Dziadach*, Miłosza poezje i *Ziemię Ulro*, *Prawosławie* Evdokimowa, *Mój wiek* Wata, *Fabula rasę* Stachury, pisma Simone Weil.

Olaf dostał wówczas cymbały, Jasiak harmonię, przy pomocy której rozpisywał na głosy ukraińskie pieśni przywiezione z Dubiażyna. Były też pieśni białoruskie odnalezione przez Piotrkę i Wandę podczas „Wyprawy zimowej”, pierwsze pieśni żydowskie, chasydzkie niguny, a także pieśni i melodie z Lubelszczyzny, jak choćby oberek ze wsi Piłatka, albo *Hej, doloż moja*, pieśń zapisana na jednej z pierwszych wypraw nad Bug. Były też kasety z mojej pierwszej podróży na Grabarkę, ze spotkania z Babką z Otroczka, która leczyła przykładając do ciała saganek z topionym woskiem i zaklinając: „Niechaj wszystkie bóle śpią, i teraz i zawsze, i na wieki wieków, Amen”, a potem odczytywała chorobę z kształtu zastygłego wosku i przepisywała zioła. Oczywiście są to jedynie okruciny wyłonię z całego kontekstu naszych wypraw i rekonesansów, spotkań ze starcami i złowrogą, pijaną cizbą, cisnącą się w drzwiach izby, gdzie odbywało się *Zgromadzenie Wieczorne*.

To wszystko różnymi drogami przenikało do *Gusef*. Na salę chodziliśmy czasem pojedynczo z Włodkiem, czasem w małych grupach, czasem wszyscy, budząc się na zmianę w ciągu całej nocy. Kończyliśmy często świtem i wtedy zdarzało się, że w blasku jutrzeńki graliśmy mecz w piłkę nożną, albo po prostu szło się na mszę poranną do kościoła w Wygnanowicach.

Obecnie uświadamiam sobie, że tak naprawdę *Gusła* nigdy nie zaistniały dla mnie w kategoriach teatralnych. Nigdy nie odczułem tego zdarzenia jako pewnej konwencji i umowności sytuacji, relacji z widzami, świadomości formy. Nie przypominam sobie też, abym kiedykolwiek przejął się tym, jak to jest odbierane przez innych i jakie ma recenzje. Było intensywne działanie z najbliższymi, otwarte na pracę duchową. Nie było żadnej linii horyzontalnej, jedynie linia pionowa, bezinteresowne wołanie z wnętrza, konieczne tak, jak lament u wdowy, albo pieśń u pana młodego. Aktor — z tym słowem nigdy nie mogłem się oswoić, nie dlatego, że żywię do niego jakąś urazę, bo nie, ale dlatego, że ono nie mieściło się w żadnym polu odniesienia do ówczesnej pracy. Ja po prostu nie grałem. Przez wiele wieczorów w ciągu kilku lat kochałem, cierpiałem, tęskniłem i wołałem bez żadnej umowności, w jednym strumieniu uczestnictwa płynącym dzięki obecności najbliższych przyjaciół. Tak właściwie nic nadzwyczajnego, powtarzająca się modlitwa wieczorna z rachunkiem sumienia i inkantacją. Szczególnie może tylko to, że możliwa w grupie, właściwie tylko dzięki grupie, i w teatrze wobec widzów, do których nic nie jest skierowane, a jednocześnie zdarza się, że odczuwają silniej wspólnotę z tymi, którzy ich goszczą pod jednym dachem.

To wszystko jest oczywiście moim bardzo subiektywnym

odczuciem ówczesnej pracy w „Gardzienicach”. Nie zdziwiłbym się też, gdyby Pan odniósł się do tej relacji z podejrzliwością, czy nawet z ironicznym uśmiechem. Ja sam chętniej umieściłbym to w jakichś bardziej stabilnych, teatralnych ramach. Tymczasem tak się nie da. Czy owo niegranie oznaczało bycie sobą w spektaklu? Nie. To nie polegało na wytyczeniu bezpośredniej linii z życia do zdarzenia. Wręcz przeciwnie, następowało przeistoczenie, wcielenie w inną postać egzystencji, dotknięcie ukrytego, zupełnie nieznanego ładu. Jeżeli spektakle *Gusef* odbywały się w końcówce tygodnia, to wówczas wszystko ku tej sobocie czy niedzieli ciążyło, było przygotowaniem i oczekiwaniem na chwilę wzmożonego życia, na bycie innym-sobą. Ale to doświadczenie wcale nie musi zakładać konwencji i gry. I nie ma tu sprzeczności. A może to stanowi ukrytą istotę i moc teatru właśnie?

Moja opowieść dobiega kresu. Z końcem 1983 roku odszedłem z zespołu. I wówczas także nie towarzyszyła temu żadna przemysłana decyzja, żadna rachuba; musiałem zebrać wszystkie swe siły, całą odwagę, by być posłusznym wewnętrznemu głosowi, który ledwie słyszalnie nakazywał mi pakować manatki i ruszać w drogę. To był ten sam głos, który przyprowadził mnie do „Gardzienic”, dlatego nie śmiałem mu się sprzeciwić. Przede mną była ciemność, zupełnie nie wiedziałem dokąd idę. Na szczęście nie byłem sam, jeszcze kilka osób odchodziło wówczas z zespołu i bardzo sobie wtedy pomogliśmy.

Zacząć trzeba by nową opowieść, ale nie czas na to. Myślę teraz o idei, którą przez te kilka lat próbowaliśmy urzeczywistnić i która ciągle pozostaje żywą, może już nie w samych „Gardzienicach”, a bardziej w każdym z nas z osobna, w ludziach „Gardzienic”. Nigdy sobie wspólnie takiej idei nie zwerbalizowaliśmy, tym bardziej, że pozostaje ona wciąż żywa, a więc ukryta. Pragnę tylko wskazać Panu pewien trop, ten mianowicie, który poprzez wyprawę i rekonesanse prowadził ku ludziom na wsi. Przynajmniej dla niektórych z nas ta podróż już dawno przestała być podróżą po nowe środowisko dla teatru, po wiedzę krajoznawczą, czy historyczną, po atrakcyjny materiał, który później można by na różny sposób wykorzystać. Niepostrzeżenie godziny spędzone w izbach ze starcami przy wtórze ich pieśni, modlitwy, skargi i tęsknoty stawały się godzinami wtajemniczenia na takiej samej zasadzie na jakiej kiedyś chcąc przyuczyć chłopaka do śpiewu w cerkiewnym chórze stawiano go pomiędzy śpiewaków podczas każdej liturgii, aż sam nie dosłyszał tonu, który odtąd zestrzelał będzie jego duszę i przywoływał.

Otóż podczas wypraw, *Zgromadzeń Wieczornych*, rekonesansów... dawał się słyszeć ów ton przypominający głos dzwonu z dawno już opuszczonej świątyni. Szukaliśmy ścieżki wyjścia z krainy wydziedziczenia? Przywołuję ten trop, bowiem mnie samego on najbardziej niepokoi i inspiruje.

Łączę wyrazy szacunku.

DROGI PANIE ALEKSANDRZE

(...) Obecnie na Wigrach rozpoczynamy pierwszy nasz poważny projekt w tym regionie — „Pamięć starowieku”. Poza uczestnikami z Polski i zagranicy, którzy przewinęli się przez „Podróż na Wschód” i będą tutaj prezentować spektakle, koncerty, wystawy oraz prowadzić warsztaty i seminaria, to będzie też spora grupa ludzi z Suwalszczyzny i Białostocczyzny (młodzież, nauczyciele, instruktorzy, etnografowie, muzycanci ...). Będą wśród nich Litwini, Ukraińcy, Białorusini, będą starowiecy, unicy, katolicy

i prawosławni. Szykuje się też wielkie święto pieśni starowieku z udziałem zespołów i śpiewaków z całego pogranicza.

Myślę o tym wszystkim jako o pierwszym impulsie do spotkania, wzajemnego rozpoznania i przełamania lodów. Następane spotkanie z tego cyklu zaplanowaliśmy na wiosnę.

Z radością dzielę się z Panem nowiną, że otrzymaliśmy pomieszczenie w budynku przy synagodzie w Sejnach, gdzie ongiś mieściła się jesiwa i rabinat.

Wigry, 15 listopad 1990 r.

Pozdrowienia serdeczne
Krzysztof Czyżewski

Podróż na Wschód

Przystępujemy do realizacji projektu „Podróż na Wschód”. Projekt ten jest konsekwencją i kontynuacją działań teatralnych, które prowadzimy od kilku lat na terenie całej Polski. Każdego roku działania te miały swoją kulminację w organizowanej przez nas *Wiosce Spotkania* w Czarnej Dąbrówce, kaszubskiej wsi położonej na północy Polski. Instytucjonalnym wsparciem Spotkań był istniejący tam Ośrodek Kultury. Każdorazowo inicjowaliśmy te Spotkania podróżą po rejonie Kaszub, wędując przez lasy i wioski, z koniem i wozem, szukając śladów kultury tradycyjnej, obrzędów, dawnych pieśni i opowieści. Często było to bezpośrednią inspiracją dla formy i treści przedstawienia, nad którym pracowaliśmy w podróży. Zdarzało się także, że pokazywaliśmy przedstawienia ludziom we wsiach. Po tej podróży przystępowaliśmy do budowania *Wioski Spotkania* nieopodal Czarnej Dąbrówki, w szczególnym miejscu ze względu na moc i czystość natury. Do tej *Wioski* przyjeżdżali zaproszeni przez nas ludzie z całego świata, aby uczestniczyć we wspólnej wymianie doświadczeń teatralnych, muzycznych, naukowych. W większości były to teatry, grupy muzyczne, czy naukowcy, których praca w jakiś sposób odnosi się do kultury tradycyjnej, do korzeni czy do źródeł ojczyzny z której pochodzą. Tak więc byli Żydzi, Rosjanie, Włosi, Skandynawowie, Francuzi, Niemcy, Hindusi, przedstawiciele Ameryki południowej pielęgnujący własne tradycje muzyczne i teatralne, etnomuzykolodzy i aktorzy, badający i praktykujący kulturę tradycyjną swego kraju. Ta część twórczej pracy w *Wiosce Spotkania* trwała 2 tygodnie. Finałem pracy była Międzynarodowa Sesja każdego roku poświęcona innym wybranym zagadnieniom.

I tak tematami tych sesji były:

w 1987 r.: Teatr — Mit — Tradycja,

w 1988 r.: Teatr — Święto — Rytuał,

w 1989 r.: Teatr — Pieśń — Poezja.

Na Sesję przyjechała dodatkowo liczna grupa osób z Polski i ze świata. Prezentowane były spektakle, odbywały się wykłady, biesiady muzyczne, projekcje filmów. Wydawane i kolportowane były materiały związane z tematami sesji.

Zamiarem naszym jest przekształcenie dotychczasowej formuły spotkań. Już nie *Wioska Spotkania*, a *Podróż na Wschód*. Podróż nieprzerwana, trwająca od trzech do czterech miesięcy (czerwiec — wrzesień 1990 r.), z końmi i wozami. Podróż ku ludziom i ku naturze. Przez dni i noce. Z własnym ekwipunkiem zabezpieczającym byt i warunki do pracy.

Trzonem *Podróży na Wschód* byłaby międzynarodowa grupa ludzi złożona z dotychczasowych uczestników *Wioski Spotkania* (20 — 25 osób), która oprócz czynności organizacyjnych i gospodarczych, prowadziłaby wyteżoną pracę teatralną. Celem tej pracy byłoby powołanie wspólnego spektaklu. Ponadto w podróży kontynuowana byłaby praca dokumentacyjna, zbierająca ślady kultury tradycyjnej; praca muzyczna nad pieśniami, byłby także przygotowany i prezentowany spektakl dla dzieci, itp. Spotkania z innymi zaproszonymi ludźmi i grupami odbywałyby się w drodze, na krótszy czy też dłuższy okres czasu, i obejmowałyby twórczą wymianę doświadczeń. Finałem *Podróży na Wschód* będzie prezentacja przedstawienia stworzonego w drodze.

Ideą projektu *Podróż na Wschód* jest powołanie przestrzeni spotkania doświadczeń teatralnych, plastycznych, muzycznych, naukowych prowadzonych w podobnym duchu na obszarze całego świata. Powołanie przestrzeni spotkania, w której mogłyby się przeciąć ścieżki bliskich sobie duchowo ludzi oraz zebranie ich doświadczeń w jeden strumień długiej, permanentnej podróży, w której poprzez konfrontację i wymianę doświadczeń powołany by został spektakl teatralny.

Taki spektakl byłby z jednej strony świadectwem wspólnoty duchowej uczestników podróży, a z drugiej strony świadectwem indywidualnego losu każdego współtworzącego. Byłaby to „Podróż” do duchowej ojczyzny wspólnej nam wszystkim, ale ze świadomością, że każdy dociera do niej ścieżką prowadzącą ku źródłom — korzeniom własnej małej ojczyzny, jej tradycji, historii, jej języka i pieśni.

Krzysztof Czyżewski
Wojciech Szroeder

Czarna Dąbrówka, 8.01.1990 r.

„Pogranicze – sztuk, kultur, narodów”

Istnieją na świecie obszary, przez które przebiegają granice narodów, ojczyzn, kultur, wyznań i ras. Są to przestrzenie pogranicza. Wielu ludzi nosi w sobie pamięć o nich; dla wielu są treścią tęsknot i marzeń. Jawią się one jako obszary otwartości; granice, często wbrew różnym zewnętrznym i wewnętrznym naciskom i ideologiom, nie dzielą i izolują, lecz przeciwnie — spotykają.

W przestrzeniach pogranicza życie duchowe nacechowane jest szczególną tolerancją, szerokością horyzontów. Niewątpliwie są to miejsca, które mają swoją siłę, własny klimat i niepowtarzalne bogactwo. Obecnie jednak coraz trudniej natrafić na takie miejsca pozostające w pierwotnej swej mocy i ocalające wszystkie wypracowane niegdyś wartości. Rosnąca od połowy XIX wieku nawałnica Historii, której główne prądy wzbierały pośród hasel nacjonalistycznych, rasistowskich ideologii i nietolerancji, niósł przestąpienie pogranicza spustoszenie. Docierający do najbliższych wiosek namiestnicy Historii, ideolodzy, misjonarze różnych opcji politycznych i religijnych przeciwstawiali brata bratu, narodowi naród, modlitwie modlitwę. Rany powstałe po rozpetanej wówczas nienawiści pozostają nie zagojone do dzisiaj, a młode pokolenia ciągle wychowywane są w duchu, podświadomej często, nietolerancji. Wiek XX niósł ze sobą jeszcze jedną siłę, dla przestrzeni pogranicza równie złowrogą jak poprzednia. Nowoczesność, laicyzacja, kult techniki, kultura

masowa, pragmatyzm — to wszystko elementy potężnego prądu, nazywanego często światopoglądem naukowym, który kształtował umysły filozofów i uczonych już od kilku stuleci, ale dopiero teraz z laboratoriów i pracowni na poddaszu przeniknął na ulice miast i do wiosek, osiągając wymiar masowy. To, na czym wyrastała kultura pogranicza, a więc tradycja, wiara przodków, wspólna pamięć, folklor, zostało zakwestionowane. Nic więc dziwnego, że często te pograniczne enklawy najdłużej opierały się erozji nowoczesnego światopoglądu i do dziś, broniąc się przed wykorzeniem, zachowały żywą łączność z przeszłością.

Ten, kto dzisiaj uzna się za czynnego spadkobiercę dziedzictwa pogranicza, powinien być świadom przede wszystkim dwóch wartości, które należy ocalić i praktykować. Są to szeroko rozumiana tolerancja, poszanowanie praw każdej mniejszości, co jest tożsame, zwłaszcza w chwili obecnej, z odbudowywaniem zgodnego sąsiedztwa i przewyciężaniem wzajemnych urazów, oraz czuwanie nad ciągłością tradycji, dbałość o pamięć, o żywą obecność mądrości przodków. Staje się to dzisiaj wielkim wyzwaniem.

Ludzie, którzy powołują do istnienia Fundację „Pogranicze”, pragną podjąć to wyzwanie. Czujemy się oczywiście najbardziej związani z naszą rodzimą, polską tradycją, ale przecież dopiero rozpoznanie własnych korzeni jest doświadczeniem, które po-